

Jerzy Jędrzejczyk
K.L. Auschwitz Nr 16740
K.L. Gross-Rosen Nr 2636

Ze wspomnień

Transport. W obozie koncentracyjnym zdołałem przeżyć 12 miesięcy. Każdy przeżyty dzień był jednak pełen niepewności jutra. Dokonywane w obozie zbrodnie na więźniach nie dawały żadnej pewności, że ktokolwiek z nas opuści ten obóz z życiem.

Na przełomie maja - czerwca 1942 roku całe nasze komando pracy jeszcze przed oficjalnym zakończeniem czasu pracy zostało nieoczekiwanie eprowadzone na plac przed obozową kuchnię. Stali tam już więźniowie z innych komand roboczych. Na placu przed kuchnią kręciło się wielu esesmanów, a także więźniowie z obozowego biura przydziału pracy, z kapem Otto Kieselera. Zwykle w takich sytuacjach należało się spodziewać szczegółowej rewizji więźniów i szukania przedmiotów, przenoszonych nielegalnie na teren obozu. Więźniowie przyłapani na tych niedozwolonych praktykach byli bici i najczęściej osadzani w karnej kompanii. To równało się szybkiej, niechybnej śmierci.

Uwagę naszą przykuwał ponadto fakt, że wśród esesmanów znajdowali się tacy, których dotąd nie widzieliśmy w obozie, a także towarzyszący im cywil. Przed tą zgrają oprawców musiał osobiście przejść każdy więzień. Najważniejszą rolę spełniał tu ów cywilny. Wskazanego więźnia zapisywali więźniowie z komanda arbeitsdienstführera. Ominięcie tej segregacji nie było możliwe. Wśród więźniów wskazywanych przez cywila, znalazłem się również ja.

Kiedy zakończył się tajemniczy dla nas przegląd, dowiedzieliśmy się, że mamy być wysłani do Gross-Rosen. Nikt dotąd nie słyszał tej nazwy w obozie. Wśród wyznaczonych do transportu krążyły poczęły najprzeróżniejsze domysły. Nikt z nas jednak nie przypuszczał, że niewinna nazwa Gross-Rosen, wiąże się z jednym z najbardziej zbrodniczych obozów koncentracyjnych. Nikt też nie domyślał się istnienia tam kamieniołomu.

Kiedy wszystko już było przygotowane do transportu, wydano nam prowiant na drogę. Nie mogliśmy nadal zrozumieć, dlaczego na czas transportu ubrano nas w nasze cywilne ubrania. Załadowani do krytych wagonów towarowych ruszyliśmy pełni niepokoju do nieznanego nam celu. Nasi oprawcy nie zapomnieli nas przed odjazdem ostrzec, że w przypadku głośnych rozmów w wagonach lub przy próbie ucieczki, wszyscy z wagonu zostaną rostrzelani.

Pod wieczór przez szpary w wagonie widać było niewielkie góry. Była już noc kiedy pociąg zatrzymał się na jakiejś małej stacji. Słyszać było głośnie rozmowy esesmanów i oczekiwanie psów. Wagonów jednak nie otwierano. Noc spędziliśmy zamknięci w wagonach. Kiedy nadezedł świt, wagony pootwierano z trzaskiem i przy nieustannych krzykach i biciu, wyskakiwaliśmy na teren dworca. Tu przejęli nas esesmani z miejscowego obozu. Było to przyjęcie wywołujące wśród nas strach.

Ruszyliśmy ku obozowi. Wzdłuż drogi czerwieniły się drzewa czereśni, a w dali widać było góry. Z prawej strony dostrzeżliśmy kamieniołom, a w nim znane nam paclaki więźniów. Na stoku wzgórza umiejscowiony był obóz. Sprawiał wrażenie jakiegoś marienotkowego miasteczka cyrkowego. Niebawem przekroczyliśmy jego bramę.

Na stoku, wewnątrz obozu dostrzeżliśmy pasące się stado gęsi. Dla nas był to widok niecodzienny, rzecz niemożliwa w obozie Auschwitz. O, jak tu fajnie - powiedział Romek Oleżyna. Tu im się musi dobrze powodzić, nawet gęsi hodują! To był nasz ostatni uśmiech tego dnia i przez wiele dni następnych.

Wokół naszej kolumny gromadzili się coraz liczniej nasi oprawcy. Lagerführer, zgraja esesmanów, blokowych i ich wielu pomocników.

Przyjęcie w obozie. Więzień dolmatscher /tłumacz/ wyjaśnił nam, że jesteśmy w obozie koncentracyjnym Gross-Rosen i że pan raportführer do nas przemówi.

Wysoki, szczupły esesman nie mówił, a ryczał. Sypał stekiem przekleństw i różnych obelg na przeklętych Polaków - bandytów i morderców. Po jego "krasomówczym" popisie, wystąpił więzień, którego opaska na rękawie świadczyła, że pełni funkcję lagerektstra. Na jego polecenie wystąpili z szeregu przywiezieni z nami Niemcy. Wystąpiło ich kilku. Mały, rudy, koślawy Niemiec zabrał głos. Dowodził esesmanom i funkcyjnym obozowym, że w tym transporcie przysłano największych polskich bandytów, wszyscy oni mordowali w Auschwitz więźniów Niemców. Bekkotał coś jeszcze, czego już nie rozumiałem. Wywołał tym porażenie wśród obozowych oprawców. Na dany przez Raportführera znak, cała ta banda rzuciła się na więźniów. Stałem w pierwszym szeregu. Wpadł na mnie blokowy o wylupiających oczach i koślawych nogach. Potem poznałem jego nazwisko. Był to Prill, jeden z bardziej znanych obozowych katów. Otrzymałem kilka kopnięć. Uderzenia w brzuch przeplatały się z uderzeniami w głowę. Wkrótce miałem rozciętą wargę, podbite oczy, silnie krwawiłem z nosa. Wystarczyło mu to widocznie, bo z równą pasją wziął się za kolejnego więźnia. Bez przerwy trwały krzyki rozjużonych oprawców i jęki bitych. Nie pamiętam jak długo trwała ta pierwsza masakra. Prawdopodobnie trwałaby jeszcze dłużej, gdyby nie konieczność zarejestrowania nas w obozie.

Nie ochłonęliśmy jeszcze z tych wydarzeń, gdy rozpoczęto wyczytywanie nas z listy, według kolejności numerów z obozu Auschwitz. Po zapisaniu nazwisk i po rozebraniu się do naga, byliśmy pędzeni do kadzi, zastępującej obozową kąpiel. Tu stali też oprawcy z pałkami i poganiali nas. Ta niecodzienna kąpiel stanowiła kolejną okazję do szykan i maltretowania. Kolejnym pasmem cierpień było strzyżenie i golenie. Ponieważ byłem stosunkowo wcześniej wywołany, brzytwy naszych fryzjerów nie były jeszcze zbyt stępione i fryzjerom nie bardzo się jeszcze spieszyło. Dzięki temu miałem stosunkowo niewiele zacięć na ciele.

Sama kąpiel polegała na wekakiwaniu do kadzi po kilku więźniów naraz, zanurzeniu się w wodzie. Z więźniami mniej sprawnymi fizycznie, oprawcy zabawiali się podtapianiem ich.

Pokrwawione głowy i liczne rany nie chciały się goić. Na pierwszą noc umieszczono nas wszystkich w bloku siódmym.

Wchodziło się do niego po nieheblowanych deskach. Trafiłem na skrzydło B. Pierwszą poznaną na bloku władzą był sztabowy /starszy izby/, nie widzieliśmy jeszcze blokowego.

Barak, jak większość w Gross-Rosen, składał się z sali dziennej /tagesraum/ i sypialnej /Schlafsaal/, ubikacji i umywalni. Te ostatnie były jeszcze nieczynne. Przed blokiem były prowizorycznie zainstalowane rury doprowadzające wodę, umieszczone nad drewnianym korytem. Obozowa latryna, jedna na cały obóz, znajdowała się na terenie położonym poniżej naszego baraku. Pod blokiem siódmym istniała duża piwnica. Kilku więźniów zapędzono tam do napychania sienników.

Po obiedzie rozpoczęto z nami musztrę. Cwiczyliśmy zdejmowanie i nakładanie nakrycia głowy. Taką szkołę przechodziliśmy, jako Zugangi, również w obozie w Auschwitz. Tu był jednak inny tego rytuał. Niezmiernie trudno nam było przestawić się. Nasz blokowy, z wyglądu przypominający bardziej małpę niż człowieka, Karl Kirchman, nie omieszkał nas zapewnić, że jeśli nie nauczymy się poprawnie wykonywać tych czynności, to obiadu nie dostaniemy.

Po kolacji wydawało nam się, że będzie można spokojnie położyć się spać i trochę odpocząć po dziennych trudach. Niestety, sztabowy nakazał pozostanie w tagesraumie. Blokowy zamierzał bliżej się z nami zapoznać. Przyszedł z esesmanem, blockführerem naszego bloku. Esesman nazywał się Juchelik.

Blokowy usiadł na stole, zapalił papierosa, spojrzął po wszystkich i zaczął swą długą mowę. - "Ja już jestem w obozach sto dwadzieścia miesięcy. Widziałem różnych bandytów, ale takich, którzy w obozach niemieckich mordowali Niemców nie spotkałem. Tu jest obóz niemiecki. To sobie zapamiętajcie. My wam pokazemy jak się żyje, jak się pracuje i jak Niemcy dadzą sobie radę z takimi bandytami jak wy".

Taka była główna treść jego wystąpienia, którego słuchaliśmy wylęknieni. Było ono dość długie i w głównej mierze wypełnione wyzwiskami i groźbami. Czuliśmy, że jeżeli nie zajdą jakieś zmiany, to długo nie będą się tu z nami zabawiać. Koniec nasz będzie szybki. Z minorowymi nastrojami kładliśmy się spać.

Rano znów apel, a po nim musztra i roboty przy niwelacji terenu wokół bloku. Po południu to samo. Prace wykonywać musieliśmy biegiem przy akompaniamencie krzyków i bicia. To była sobota. Narazie pracujemy, gdzie kto trafi. Podział oficjalny do komand na następie jutro. Gdzie byśmy nie trafili, wszędzie czychały na nas niebezpieczeństwa. Mogliśmy zginąć, albo przy robotach związanych z dalszą rozbudową obozu, albo w kamieniołomach.

Nasze losy zdecydowały się w niedzielę przed południem. Więzień z obozowej schreibstuby odczytywał nasze numery, a wywołany podawał zawód. Przez kilka miesięcy, w obozie Auschwitz pracowałem w komandzie elektryków. Podałem więc, że jestem uczniem w tym zawodzie. Byłem już na tyle doświadczony w obozie, że wiedziałem, iż zawód rzemieślnika może sprawić, że dostanę się do komanda fachowców.

Po wstępnej selekcji nastąpiła druga. Wszyscy w wieku do lat bodaj trzydziestu pięciu odstawieni zostali osobno. Nowo tworzone komando w kamieniołomach miało się składać z najmłodszych i najzdrowszych więźniów. Nagle niespodziewanie padło polecenie, aby wystąpili reichsdeutsche. Potem, aby wystąpili ci co znają język niemiecki. Wystąpiło nas około dwudziestu

i jako pierwsi wpisani zostaliśmy na listę przyszłych steinmetzlehrlinge. Po dobraniu dalszych więźniów odstawiono nas odrębnie. Dotychczas kamieniołom nie miał takiej grupy roboczej. To, że będziemy się uczyć w zawodzie kamieniarskim, sprawiło nam wielką ulgę. Byliśmy już pewni, że nie będziemy pracy wykonywać biegiem i nie będziemy pchać ciężkich łor, załadowanych kamieniem. W tym też to komandzie przeżyło najwięcej więźniów z auschwitzkiego transportu. Grupa nasza została też wyróżniona specjalną naszywką na ubraniu - "Steinmetzlehrlinge".

Część więźniów z naszego transportu trafiła do komanda pracującego przy rozbudowie obozu, w którym funkcję oberkapo pełnił wyjątkowy morderca, August Schneider, część do różnych robót w kamieniołomie, gdzie funkcję oberkapo pełnił Bernhard Mikolajtschak. Więźniowie pracujący w kamieniołomie, mieli naszyte numery więźniarskie koloru czerwonego, a pozostałe komanda pracy koloru czarnego.

W czerwcu 1942 było na stanie obozowym około 2.000 więźniów, w tym duża grupa Niemców, głównie przestępców kryminalnych, którymi obsadzono niemalże wszystkie funkcje obozowe. Było kilkudziesięciu Żydów i kilkudziesięciu radzieckich jeńców wojennych. Większość w tym czasie więźniów stanowili Polacy. Wspomnieni jeńcy radzieccy stanowili resztki z 2.500 jeńców przywiezionych w październiku 1941 roku z obozu Lamsdorf /Łambinowice/. Najinteligentniejszym wśród pozostałych przy życiu był młody, wysoki jeńiec, powszechnie znany jako Gregor - Igor Gurow. Znał on niezłe język niemiecki. Spełniał w obozie rolę tłumacza i wyróżniał się życzliwością dla więźniów.

W blokach w obozie Gross-Rosen panował inny reżim aniżeli w obozie Auschwitz. Wejście do bloku w butach było zabronione. Buty zostawiało się przed barakiem i nie zawsze oczekiwały one potem na właściciela. Nie wolno było wieczorem wnosić ubrań do sali sypialnej. Należało je złożyć w przepisową kostkę i zostawić w tageeraumie na stole. Obowiązywał także specjalny rytuał szania łóżek. Stosowana w baraku dbałość o czystość była także przyczyną wielu ludzkich tragedii. Nie daj Boże, jeśli u więźnia znaleziono wesz. Co tydzień, w niedziele, odbywało się w bloku powszechne golenie. Fryzjerzy blokowi, nasi koledzy, nie mieli przed tym nic wspólnego z fryzjerskim zawodem. Nikt spod ręki tych "fryzjerów" nie wyszedł bez okaleczenia. Nikt jednak nie protestował. Każdy z nas musiał zdjąć przed apelem wieczornym, aby mieć przepisowo ogoloną głowę i twarz.

Początki komanda Steinmetzlehrlinge. Dla więźniów tego komanda przeznaczono w bloku siódmym sztubę B. W poniedziałek, kiedy inni więźniowie rozpoczęli swe prace, myśmy pozostali na bloku. Spośród tych, którzy znali język niemiecki, wyznaczono tłumaczy. Zostali nimi Janek Lipka i Johan Zimmermann. Ten ostatni był nauczycielem języka niemieckiego w polskiej szkole.

Przemówienie do nas wygłosił szef naszego szkolenia i przełożony w kamieniołomie, majster Teupert. Przedstawił się, co to on za jeden, czego będzie od nas wymagał i czego będziemy się uczyć. Teupertowi towarzyszyło kilku innych, cywilnych kamieniarzy. Ci ostatni mieli nas uczyć praktycznie.

Teupert tłumaczył budowę granitu i zasady jego obróbki. Jak przystało na dobrych i posłusznych uczniów, słuchaliśmy

jego wykładów na stojąco. Zapoznano nas z podstawowymi narzędziami pracy. Każdy musiał brać po kilka razy poszczególne narzędzia i wkuwać na pamięć ich niemieckie nazwy i przeznaczenie.

Przy tej nauce towarzyszył nam stałe jeden z blockführerów, najczęściej Juchelk i Dreskaulis /znany więźniom jako Drozdowski/. Interesowali się oni naszymi postępami. System nauki był taki, że to co mówił Teupert lub inni majstrowie, koledzy tłumacze podawali nam w języku polskim. Tłumaczenie to powtarzali kilkakrotnie, poczym następowało przepytывanie więźniów. Ci, którym nie udało się opanować materiału, otrzymywali od esesmanów chłostę.

Po zakończeniu tzw. szkolenia teoretycznego, nastąpiły zajęcia praktyczne. Na kilku więźniów przypadał jeden cywilny majster. Nie byliśmy przyzwyczajeni do wielogodzinnej pracy z młotkiem. Po kilku godzinach każdy z nas miał poobijane ręce i obolałe mięśnie. Praca nie szła więc po myśli naszych nadzorców. Miała więc pomóc kara chłosty.

Pod koniec czerwca nastąpił ostatni, decydujący egzamin. Każdemu z nas zależało, aby wypadł on pomyślnie. Uprzedzano nas, że kto odpadnie, pójdzie do roboty w kamieniołomie. Egzaminował Teupert ze swoją obstawą, w obecności raportführera Eschnera, arbeitsdienstführera Schrammela. Kilka dużych kamieni ustawiono na kozłach i czytani numerami więźniowie przystępowali do egzaminu. Każdy musiał wykonać kawałek obróbki. Wkładało się maksimum wysiłku, aby egzamin zdać pomyślnie. Mnie przydała się również znajomość niemieckiego. Bałem się jak każdy z nas. Powolnie wykonywałem wyznaczoną mi pracę. Spociłem się ze strachu jak przysłowiowa myś. Kiedy majster orzekł - gut - wówczas dopiero odczułem zmęczenie, spowodowane nie tyle wysiłkiem fizycznym, co strachem i napięciem nerwowym. Niektórym kolegom przyszło zdawać jeszcze egzaminy poprawkowe.

W czerwcu nastąpiła zmiana w naszym bloku na funkcji blokowego. Ku naszej radości przeostał nim być Karl Kirchmann. Jego miejsce zajął Willi Pithof, znany w obozie pod przydomkiem Knobel. Kirchmann awansował na lagereltestra. Knobel nie był dla nas funkcyjnym najgorszym. Niektórzy więźniowie, a zwłaszcza Rysiek Kurowski, znaleźli do niego dojęcie. Miało to istotne znaczenie dla nas wszystkich, umieszczonych w bloku siódmym. Później przywarło do Knobla określenie - polski blokowy. Funkcję swą pełnił do końca 1942 roku, tj. do czasu, kiedy blok ten przeznaczono na obozowy rewir.

W czerwcu 1942 roku funkcję raportführera objął jeden z najbardziej prymitywnych esesmanów - Helmut Eschner, nieodłączny cień Antona Thumanna. Zarządzono w obozie zakaz noszenia czapek. Czapkę na głowie musieli mieć więźniowie w czasie apeli. Przed wymarszem naszego komanda do pracy w kamieniołomie zjawił się na bloku więzień Niemiec, wysoki blondyn, który przedstawił się jako Roesa, nasz kapo. Rano po apelu kazał nam ustawić się przed blokiem i czekać aż zaprowadzi nas na miejsce zbiórki komanda Steinbruch. Przy tym pierwszym spotkaniu, jak każdy funkcyjny nie zrezygnował z ogłoszenia do nas mowy, pełnej inwektyw pod naszym adresem - w Auschwitz nie nauczono nas pracować, my się o to postaramy i zrobimy z was porządnymi ludźmi i dobrymi robotnikami. Kto się nie dostosuje, tego czeka krematorium - zapowiedział.

Po rannym apelu prowadzi nas Rossa w kierunku bramy. Długa kolumna więźniów komanda kamieniołomu pierwsza wychodzi z obozu. Komando Steinmetzlehrlinge stanowi w tej kolumnie odrębną grupę. Na terenie kamieniołomu odbijamy w prawo. Tu zaraz znajduje się nowo wybudowana hala, miejsce naszej pracy. Czeka na nas już majster Teupert z innymi majstrami. Jest też kombndoführer Steinbruch i oberkapo. Kapo Rossa wywołuje z listy poszczególnych więźniów i wyznacza im stanowiska pracy. Na kozłach leżą duże kamienie, przeznaczone do obróbki. Przy każdym niezbędne narzędzia. W takim samym porządku musimy je zostawić po zakończeniu pracy. W rogu hali kantorek majstra Teupert. Przez oszklone okno widzi całą halę. Pracę zaczynamy od produkcji ulicznych krawężników. Później profil produkcji steinmetzlehrlingów będzie się zmieniał. Przyjdzie czas obróbki płyt chodnikowych, a następnie produkcja nagrobków cementarnych. To będzie jednak wtedy, gdy opanujemy dobrze zawód kamieniarza. Dla części z nas nie ma już miejsca w hali. Ci pracują na stanowiskach urządzonych wokół hali.

Otrzymuję swój kamień. Pod okiem majstra wykonuję pierwszą fazę obróbki. Młotek jest ciężki, waży około dwóch kilogramów. Ręce niewprawne do takiej pracy. Co jakiś czas zamierzam uderzyć w spitzelzen trafiam w dłoń. Przed pyłem i odłamkami mają nas chronić zwykłe okulary, w drucianej oprawie, w miarę upływu czasu ręce stają się coraz mniej sprawne, coraz bardziej odczuwalny jest ból.

Teupert nieustannie obserwuje więźniów. Wśród stanowisk pracy krąży bez przerwy kapo Rossa. Gdy Teupert uzna, że któryś z więźniów nie wykonuje pracy w odpowiednim tempie wskazuje go kapo. Winny otrzyma karę chłosty. By ona miała charakter "wychowawczy" karze tej przyglądać się muszą inni więźniowie. Łagodniejszy od Teupert'a są majstrowie sprawujący nadzór nad poszczególnymi więźniami. Oni sprawdzają robotę, pouczają jak należy najlepiej ją wykonać.

Kilkaś metrów od nas, na zboczu góry pracuje komando kapo Newalda. Kilkudziesięciu kolegów również z naszego transportu bez przerwy kuje kilofami zaurzając skałę, ładuje na wózki i wywozi w dół. Newald wyżywa się na więźniach. Towarzystwo mu jego zastępca Jupp. Słychać bez przerwy ich głosy, ponagające więźniów do pracy, sypią nieustannie wyzwiskami. Pchanie wózków pełnych i pustych odbywa się biegiem. Nie przez przypadek kolumnę Newalda określano jako komando śmierci.

O dziewiątej rozlega się głos syreny w kamieniołomie. W pierwszej chwili jesteśmy zaskoczeni, myślimy, że ktoś uciekł z obozu. Syrena w obozie Auschwitz w czasie pracy zawsze oznaczała ucieczkę więźnia. Tu na szczęście oznacza ona przerwę w pracy. Powoduje ją potrzeba dokonania odtrzału kamienia w kamieniołomie. Kolumny robocze odprowadza się na pewną odległość, aby wysadzone kamienie nie spadały na ludzi. W tym czasie rozdawany jest więźniom tzw. frysztyk. Stanowi go jeden kawałek chleba posmarowany najczęściej kawałkiem surowej, końskiej kiełbasy. Dobre i to.

Zużycie jest również okazją dla okradania więźniów przez kapów. Nie otrzymują jej nie tylko zabici, ale i dogorywający, a gdy jest jej jeszcze mało - również więźniowie uznani za mało wydajnych w pracy.

Praca w obozie trwa oficjalnie od szóstej do dziewiętnastej, z krótką przerwą na apel południowy i spożycie obiadu. Wszystkie

komanda pracy schodzą wówczas do obozu. W obozie trzeba się bardzo spieszyć, aby zdążyć zjeść zupę i ponownie ustawić się w komendzie do wymarszu. Najmniejsze opóźnienie powoduje represję.

Po apelu wieczornym też nie zawsze można było odpocząć. Trwały bowiem w obozie roboty przy rozbudowie. Gdy te dodatkowe prace ominęły więźniów, można było z kolegami porozmawiać o przeżytym dniu.

Walka o przetrwanie. Na początku lipca mieliśmy pierwszą wypłatę z kont obozowych, na które wpływały niemieckie marki od rodzin. Zezwolono nam również na wysłanie listów. Za pierwsze otrzymane marki kupiłem od więźniów pracujących w warsztacie szewskim skórzany ochraniacz na rękę i lepsze buty. Kupiłem też papier listowy i znaczek. Nie wszyscy z nas znają język niemiecki. Ci co go znają mają pełne ręce roboty. Piszę kolegom listy. Każdy chciałby napisać jak najwięcej, ale list ma tylko jedną stronę, druga zastępuje kopertę. Treść może zawierać jedynie dobre wiadomości. Każdy obowiązkowo musiał pisać, że jest zdrow. Można też zapytać o zdrowie najbliższych, przekazać pozdrowienia i to niemal wszystko. Najważniejszą sprawą było to, że list stanowił wiadomość, że nadawca żyje. Pod listem nadawca podpisywał się własnoręcznie.

Pomimo, że praca w komandzie Steinmetzlehrlinge dawała największą spokoju, to w obozie podlegaliśmy takiemu samemu rygorowi, jak i pozostali więźniowie. Tu nam groziły największe niebezpieczeństwa. Głównym katem obozu był lagerführer Anton Thumann. Dla zaskarżenia sobie jego zaufania w maltretowaniu więźniów prześcigali się zarówno esesmani, jak i funkcjonariusze obozowi. Na blok siódmy często zniechęca wpadał blockführer Juchelik i lagereltester Kirchmann. Każda ich wizyta powodowała represje na więźniach. W czasie jednej z takich "wizyt" Juchelik pozbawił mnie obiadu bez żadnego powodu. Było to w początkach lipca. Rozpoczynaliśmy jeść obiadową zupę, gdy nagle wpadł Juchelik. Siedziałem u brzegu stołu i dobrze widziałem jak wchodził. Nim sztubowy krzyknął "Achtung", ja już stałem na baczność. Juchelik nie patrząc na sztubowego, skierował się ku mnie i zaczął od bicia po twarzy, a potem zaczął mnie kopać. Kazał odebrać mi zupę. Zupa choć nie zaspokajała głodu na długo, ale na jakiś czas wywoływała uczucie pełnego żołądka. Niemal każdego dnia był ktoś pozbawiany bądź obiadu, bądź kolekcji.

Dość szybko poczęły się wśród więźniów pracujących w Steinmetzlehrlinge tworzyć grupy wspólnej pomocy, tak w miejscu pracy, jak i w bloku. Miało to duże znaczenie psychiczne i praktyczne, pomagało przeżyć kolejny dzień. Nie sposób wymienić tu wszystkich więźniów, których postawa zasługuje na wdzięczną wzmiankę. Wymienię najbardziej zapamiętanych: Władek Domżański, Tomek Okaliński, Bolek Drabek, Henryk Kobylański, Henryk Święcki, Roman Olszyna, Rajmund Gauke, Jurek Winkiel, Wiesiek Gazda, Jerzy Kowalewski, Jerzy Potempa, Józef Pietrzak, bracia Miareccy.

W niespełna miesiąc od rozpoczęcia pracy w kamieniołomie w komandzie Steinmetzlehrlinge nastąpiły masowe zachorowania na oczy. Co raz to kilku więźniów nie wychodzi z nami do pracy. Zaczynają tracić wzrok. Jednego dnia i u mnie coś się stało ze wzrokiem. Na początku czułem tylko ból w oczach, ale po trzech - czterech dniach już nie rozpoznawałem ludzi, widziałem tylko

cienie. Nie zgłosiłem się do kolumny roboczej, a po apelu zameldowałem się wraz z innymi jako chory. Nas kilku Steinmetzlehrlingów odstawiono na bok. Wiedziano już o zachorowaniach w naszym komandzie. Zakroplono nam oczy lekarstwem i wydano decyzje o zwolnieniu z pracy na sześć dni /Schonung/. Codziennie zgłaszaliśmy się do Rewiru na zakrapianie oczu. Po sześciu dniach nastąpiła kontrola. Widziałem już dobrze, ustąpiło łzawienie i szczypanie powiek. Między sobą schorzenie to zwaliśmy egipską ślepotą.

Jednym z naszych marzeń było wyrwanie się z tego obozu. W połowie lipca rozeszła się wieść, że chorych będzie się wysyłać do obozu w Dachau. Nie wiadomo skąd istniało wśród więźniów przekonanie, że w obozie tym istnieją dobre dla więźniów warunki. Każdy z nas chciał dostać się do przygotowywanego transportu. Spośród więźniów z naszego transportu wybrano tylko kilkudziesięciu. Odpadłem, gdyż uznano mnie jeszcze za zdrowego i zdolnego do pracy. Przepadła jedyna nadzieja wyjazdu z tej przeklętej mordowni.

Praca przy obróbce bloków granitowych szła nam coraz sprawniej. Wykonujemy już wyznaczone nam normy. Warunki panujące w obozie przerzedzają również szeregi w komandzie Steinmetzlehrlinge. Grupa nasza staje się coraz mniej liczna. Już w sierpniu widać wyraźnie jak przerzedziło się w naszej hali.

Przy kolejnej wypłacie marek w naszych obozowych kont, postanawiamy zebrać trochę pieniędzy dla naszego kapo Rossy. Nie pamiętam już, który z naszych kolegów podjął się tej misji, ale spełnił ją z powodzeniem. Udało mu się wmówić Rossie, że jest dobrym kapo i wiele innych pochwał. Niemcy lubili pochwały. Powiadomił go, że więźniowie pragną mu za to odwdziżyć się, przeznaczając trochę marek na zakup papierosów w obozowej kantynie. Rossa wzbraniał się trochę z przyjęciem pieniędzy, ale gdy go zapewnił, że o tym nikt się nie dowie, przyjął je. Stał się po tym łagodniejszym dla nas.

Rajmund Gauke pochodził z Zawiercia. Ja miałem tam wujka, który pracował na kolejowej poczcie. Mieliśmy z Rajmundem wspólnych w tym mieście znajomych, a między innymi kierowniczkę apteki Zofię Pasierbińską i rodzinę Piaseckich. W jednym z cywilnych majstrów Rajmund rozpoznał znajomą twarz z Zawiercia. Rajmund i majster przez kilka tygodni wzajemnie się obserwowali. Przyszedł moment, że podczas odbioru gotowego krawężnika zamienili wreszcie ze sobą kilka nieznaczących słów. Teraz od czasu do czasu trafiają się Rajmundowi niewielkie kawałki chleba, podrzucane w umówione miejsce przez majstra. Niby bez przyczynny majster informuje kiedyś Rajmunda, że we wrześniu ma kilka dni urlopu i wyjeżdża do rodziny do Zawiercia. Rajmund zastanawia się, po co mu o tym wspomina? Czyżby czekał na jakąś wiadomość od Rajmunda dla rodziny? Chyba tak. Rajmund przyjaźni się ze mną. Jeden, czy dwa listy to już bez znaczenia. Majster nie odmawia jego prośbie. Mimo to nie czujemy się zbyt pewnie. Trzeba czekać na efekty. Majster jednak nie zawiódł. 17 grudnia 1942 roku wysyłam ostatni nielegalny list. A oto jego treść: "Moi najdrożsi. Już trzeci list wysyłam do Was, tym razem świąteczny. W pierwszym rządzie dziękuję Wam za to wszystko coście dla mnie zrobili, za paczki i za pieniądze, na które co dnia oczekuję, a które mają nadejść jeszcze przed Bożym Narodzeniem. Może już jutro je otrzymam?"

Jestem zdrowy i czuję się wyśmienicie. Nic mi nie brak, prócz Was. Boże Narodzenie będę spędzać razem z kolegami z Oświęcimia. Jest już nas niewielu. Właśnie dzisiaj omawialiśmy, jak sobie urządzimy wspólną wigilię. Po świętach napiszę do Was, to Wam opiszę.

W poniedziałek dostałem list z życzeniami świątecznymi od p. Hanki i Heni. Bardzo byłem z niego zadowolony. Heni i Hance bardzo za niego dziękuję i proszę o nowe. Henia, złóż życzenia świąteczne odemnie z obozu wszystkim moim kolegom i koleżankom Hance, Reni, Dance, Jasi, Tadekowi, Heńkowi, Jurkowi oraz Jurkom i Staśkom z Oświęcimia.

Kochana Mamusiu, niechaj Mamusia podczas świąt dużo je, śpi i wypoczywa i niech Mamusia spędza święta tak jak przed wojną, jak byśmy byli razem, gdyż dusza moja i serce jest cały czas przy Was. Babci dziękuję za placki, które dla mnie piecze, bądź zdrowa i wesoła, bo musisz doczekać końca wojny, kiedy wszyscy będziemy znów razem. Ucałujcie odemnie i podziękujcie za starania o mnie Wujkowi Bolkowi i Cioci. Wam życzę tego co sobie sam życzę. Co jest z Tatusiem. Wujka Józka, Ciocie i Julki ucałujcie odemnie. Pani Rutkowskiej dziękuję za paczkę. Jeszcze raz Was mocno ściskam i całuję - Jurek.

Wszystkim znajomym życzę Wesołych Świąt, nigdy nie zapominają i dziękuję im za to co Wam oni dobrego zrobili. Jerzy - Piszcie do mnie częściej. - 17.XII.1942"

W drugiej połowie 1942 roku, wraz ze wzrostem tempa rozbudowy obozu, wzrasta zapotrzebowanie na budulec. Przy powrocie z kamieniołomów, w południe i wieczorem, każdy więzień musi przynieść na plecach duży kamień. Esesmani i kapowie pilnują, by kamień był odpowiedniej wielkości, im większy tym lepszy. Próba wzięcia kamienia małego kończy się tęgim łaniem i nałożeniem kamienia największego. Buduje się też w szybkim tempie baraki w części esesmańskiej. Przy ich budowie, w każdą niedzielę do południa pracuje komando Steinmetzlehrlinge. Praca jest ciężka, ale dobrze, że tylko do południa. W niedzielę nie ma brotzułagi i nie ma przerwy w pracy. Aby nieco odsapnąć, trzeba funkcyjnego poczęstować papierosem. Te zaś mają tylko więźniowie mający pieniądze na obozowym koncie. Więźniowie Niemcy na ogół ich nie mają. Gdy kilku kolegów dobierze się razem, przerwy w pracy mają miejsce niemalże co godzinę, bo coraz to kto inny z nas częstuje nadzorcę. Taki funkcyjny stara się mieć u siebie tę samą grupę, wie, że nie tylko popali, ale jeszcze zaoszczędzi na później.

Od czasu do czasu blokowy Pithof przyniesie na blok niemiecki dziennik "Völkischer Beobachter". Można go nawet w obozie zaprenumerować, ale nikt z Polaków nie chce. Wieczorem niektórzy znający język niemiecki mogą go przejrzeć. Mimo głodu ciekawi byliśmy sytuacji na frontach, zwłaszcza na froncie wschodnim. Dominowały zresztą wiadomości z tego frontu. Zdjęcia uśmiechniętych żołnierzy z podpisami "Stolz und Sieger" i inne, wychwalające męstwo i waleczność Übermensców. W niejednej były mapki z oznaczeniami odniesionych zwycięstw. Przeręzało nas, że zdołali zająć aż tak daleko.

We wrześniu, majster Teupert coraz rzadziej stosował na więźniach karę chłosty. Dostaliśmy w tym miesiącu trzech nowych Vorarbeitrów. Są nimi więźniowie Niemcy: Heini, Sidow i Franz. Przywieziono ich z obozu we Flossenburgu, gdzie także

pracowali w kamieniołomach. Jak na potrzeby naszego komanda, niewiele umieją. Na razie udają fachowców. Są bardzo nieufni i czujni. Chodzą po hali i gdzie tylko mogą, wtręcają swoje trzy grosze.

W czasie rannej przerwy wolno zapalić, Kto ma papierosa wyciąga i zaciąga się. Ja nie umię palić, ale w tę przerwę palę specjalnie, aby dodać sobie powagi. To jest zresztą jedyny papieros dziennie. Nowi Vorarbeiterzy nie mają papierosów i kręcą się wokół nas, próbują o tym i owym zagadać. Wiemy dobrze o co im chodzi. Rozmawiam z nimi swobodnie po niemiecku. Lubię się chwalić swoją przeszłością. Heini chwali się, że był w jednej z najlepszych band przemytniczych, grasujących na granicy pomiędzy Belgią i Holandią. Opowiada chętnie jej wyczynny.

Sodow i Franz to zwykli złodzieje, kieszonkowcy. Lubię demonstrować swój kunszt. Kradną nam papierosa i nimi nas częstują. Czasem udają, że nie dostrzegam kradzieży, aby im nie podpaść. Za jeden czy dwa papierosa nie warto ryzykować. Najlepiej, jeśli wyrażało im się podziw, że tacy mądrzy i sprytni. Im funkcyjny był bardziej prostacki, tym łatwiej było mu wmawiać, że nie jest zły, a tylko jego ofiara jest głupia.

Czas sprawia, że panujące warunki w obozie coraz mniej nas szokują. Jedynie panujący głód jest wciąż nie do zniesienia. Najgorzej są godziny pomiędzy wydawaniem posiłków. Rano wiemy, że poza tak zwaną kawą nic więcej nie będzie. Pierwsze godziny idą jeszcze rozmachem po nocy. Około dziewiętej, młotki pracują coraz wolniej i sieziej. Czekamy na dźwięk syreny z kamieniołomu co oznacza krotką przerwę, brotzulagę i kawę przywiezioną z kuchni kamieniołomu. To czekanie podrażnia uczucie głodu. W południe krótki apel, niemalże w biegu zjedzona brukwiana zupa i znów wymarsz do pracy. Nie można się spóźnić - grozi to pośądzeniem o niechęć do pracy, a co gorsze - o chęć ucieczki z obozu.

Opisane niżej wydarzenie miało miejsce na przełomie września - października. Około godziny siedemnastej zawyła syrena. Wiedzieliśmy już co to oznacza. Ktoś uciekł z obozu. Rzecz wręcz nieprawdopodobna na warunki panujące w obozie. Porzuciliśmy w pośpiechu narzędzia, ustawiając się na zbiórkę komanda. U nas nikogo nie było brak. Odetchnął kapo, odetchnęliśmy i my wszyscy. Zarządzono zbiórkę całego komanda Steinbruch. Rozwścieczeni esesmani wraz z kapami sprawdzają stany w grupach roboczych. Na szczęście nikogo nie brak. Wracamy wszyscy do obozu. Przed bramą cała świta z obozowej komendantury. Mina Antona Thumanna nie wróży niczego dobrego. Stoł rozkraczony ze swym nieodłącznym psiem alzackim.

My z transportu z KL Auschwitz znamy konsekwencje takich ucieczek. Jeżeli uciekł Polak czeka nas wszystko co najgorsze. Na razie nie wiemy kogo brak w obozie. Cały obóz ustawiono jak do apelu. Nasz blokowy wściekły, sprawdza stan bloku. Są wszyscy. Przez obóz przebiega wieść, że brak dwóch Niemców. Pomimo to nasz blokführer Juchelik nie szczędzi nam kopniaków i bicia. Na nas wyładowuje swą złość. Po apelu pada rozkaz, że cały obóz stać będzie tak długo dopóki nie zostaną złapani uciekinierzy. Ta stójka trwa całą noc. Słabszych przesuwamy do środka. Z brzegu i po bokach stają najwytrzymalsi. Słabszych podtrzymują koledzy, aby dotrwali do rana. Liczymy, że rano

dadzą nam wczorajsze kolacje i gorącą kawę. W najgorszej kondycji są Ci, którzy trafili do komanda Newalda i Juppa. Porządku w kolumnach pilnują obozowi funkcyjni i blokführerzy. Każdy z nich trzyma w rękach drąg - najczęściej stylisko od kilofa. W kolumnach obowiązuje zakaz prowadzenia rozmów. Panuje absolutna cisza. Od czasu do czasu któryś z bloków ćwiczy Mützen ab - Mützen auf /czapki zdjąć - czapki włożyć/. Coraz częściej słychać pojękiwania: już nie mogę. - Tak mijają godziny. Nogi boją coraz bardziej. Od czasu do czasu przed lub za blokiem pojawia się Anton Thumann ze swym owczarkiem, słysząc czyjeś jęki i głośne warczenie psa.

Dobrze, że obóz położony jest na zboczu góry. Wiejący chłodny wiatr orzeźwia nas. Powoli, bardzo powoli zaczyna świtać. Zaczyna ukazywać się wschodzące słońce. Przyglądamy się sobie. Na każdej twarzy nieludzkie zmęczenie. Nie wiadomo jaka siła nas trzyma. Zmęczeni esesmani udają, że są w formie, ale i oni coraz mniej są skory do krzyku i bicia. Jeden tylko wydaje się nie być zmęczony. To Anton Thumann z nieodłącznym psem.

Pada wreszcie rozkaz rozejścia się po blokach. Z kuchni przyniesiono upragnioną jak nigdy kawę. Blokowi wydają wieczorowe porcje chleba. Każdy siada gdzie może, aby tylko trochę odpocząć. Ten spokój nie trwa długo. Władze obozowe zarządzają wyjście komand do pracy. Będzie to ciężki dzień. Ale nie tylko więźniowie są zmęczeni. Obozowi funkcyjni też kryją się gdzieś po kątach, aby odpocząć. Nie kręcą się też jak zwykle esesmani.

W komandzie Steinmetzlehrlinge każdy z nas ma stołek, na którym może usiąść. Jest to stołek szczególnego typu. Na nim usiąść wygodnie nie można. Ale to już jest coś. Wszyscy pozostali więźniowie mogą nam tego pozazdrościć, zwłaszcza dzisiaj. Zbudowany jest z kawałka nieheblowanej deski z jedną nogą w środku deski. Nasz kapo i voarbeitsrzy też się gdzieś pochowali. Stuk młotków w hali jest bardzo leniwy. Każdy z nas jest śpiący. Nie nadzoruje nas dziś nawet majster Teupert. Uciekinierów nie schwytano. Z obozu zbiegli kanałami kanalizacyjnymi.

W październiku przychodzą nowe transporty. Wyniszczonych pracą i obozowymi warunkami wywozi się z obozu. Mimo to nasila się tempo prac przy rozbudowie obozu. Jest już gotowe stałe ogrodzenie wokół obozu. Niedostateczna ilość więźniów w komandach Neubau uzupełniana jest pracą więźniów z innych komand roboczych. Po wieczornym apelu pędzi się dodatkowo setki więźniów do robót przy budowie baraków. Kopią rowy pod fundamenty. Noszą kamienie i części baraków. Praca odbywa się przy nieustannych krzykach i biciu. Teren robót oświetlają reflektory. Praca trwa co najmniej do godziny dziesiątej wieczór. Więźniowie podejmują próby wyrwania się z tych robót. Jest to niezmiernie trudne. Póki trwają te roboty, więźniom nie wolno przebywać wewnątrz bloków. Przechwycony w nich więzień jest bity i ponownie zapędzany do robót i to najcięższych. Dopiero po ogłoszeniu końca pracy wydawane są wieczorne porcje.

Najbardziej ryzykowni wkradali się do bloków oknami ze schlafsali. Nasz blokowy Nobel na szczęście udawał, że tego nie widzi. Na blokach kapowie i lagereltester przeprowadzali doraźne kontrole. Sypialnie były źle oświetlone. Kontrolowano zazwyczaj łóżka. Więźniowie ukrywali się pod łózkami wzdłuż szczytowej ściany, gdzie najtrudniej było ich dostrzec.

Chodząc w niedziele po południu po obozie, spotykałem kolegów pracujących w innych komandach pracy. Było ich coraz mniej. Władek Sikorski pracował w komandzie malarzy, wyglądał już bardzo źle. Jego kapo, Morpaster, znany był z wyjątkowej złośliwości. W oczach Władka widać było nieprzeczwycięzoną chęć do życia, powtarzał stale: muszę przetrwać. Rozmowy były prowadzone niemal zawsze na te same tematy, zawsze padało sakramentalne pytanie - jak ci idzie i zawsze ta sama odpowiedź - jak widzisz, jeszcze żyję.

Nieuchronnie zbliżała się zima. W listopadzie otrzymaliśmy skarpety, rękawiczki, sweterki, płaszcze, nawet nauszники. Do domu udało mi się wysłać już dwa nielegalne listy. Grypsy te szły drogą: Rajmund Gauks, majster, pani Zofia Pasierbińska, skąd docierały do mego wujka Zygmunta Zawierciu. Szły one następnie do mego dziadka w Brzeźnicy nad Wartę, a następnie do Ostrowi Mazowieckiej, gdzie mieszkała moja matka. W przewożeniu tych listów do Ostrowi Mazowieckiej pomagały również inne osoby, często księża. Tą drogą docierały też do mnie niemieckie pieśniadze. Były one bardzo przydatne. Dzięki nim z większą łaskawością traktował mnie blokowy Knobel, mogłem też pomagać niektórym kolegom. Wiele spraw można było załatwić w obozie gdy dysponowało się też papierosami. Były okresy kiedy papierosów brakowało powszechnie. W takich okresach funkcyjni sięgali po różne środki, aby je zdobyć od więźniów. Zarządzano częste kontrole ubrań i sienników, a znalezione papierosy stawały się łupem funkcyjnych.

W obozie dalej obowiązywał zakaz przesyłania więźniom paczek przez rodziny. Pomimo, że pracowałem pod dachem i miałem dodatkową porcję zupy, to jednak byłem coraz słabszy. Pisząc oficjalne listy próbowałem w nich przemycić prośbę o paczki. Za taki list zostałem kiedyś ukarany. Przez dwa tygodnie wykonywać musiałem wieczorem dodatkową pracę karną w obozie. W dniu ogłoszenia tej kary pozbawiony zostałem wieczorowej porcji chleba. Pomimo tego przyszła do obozu paczka zaadresowana na moje nazwisko i numer. Tego się nie spodziewałem. Zaskakujące też były okoliczności związane z jej odbiorem. Więzień ze schreibstudy obozowej przyszedł do mnie na blok. Miałem natychmiast pójść z nim. Różne myśli przechodziły mi po głowie. Takie nagłe wywołanie nigdy niczego dobrego nie wróżyło. W schreibstubbie pełnił dyżur blokführer Hanke. Zameldowałem się zgodnie z obowiązującym rytuałem. Zapytał mnie najpierw, czy umiem po niemiecku. Odpowiedziałem, że tak. Dopiero wówczas oznajmił mi, że przyszła dla mnie paczka i że lagerführer pozwolił mi ją wydać. Była to skromna paczka, zawierała zaledwie kilka pierników i kawałek masła. Rodzina wysłała paczkę mimo wyraźnego zakazu, podawanego w nadruku obozowego listu, nie była więc pewna, czy paczka zostanie mi doręczona. Musiałem oficjalnym listem zawiadomić nadawcę, że paczkę otrzymałem. Pierwsza paczka była dobrym zwiastunem. Mogłem oczekiwać na dalsze.

W niedługim czasie później oficjalnie wolno było już pisać do rodzin o przesyłanie paczek. Zaczęły one napływać w 1943 roku. Odmieniły one losy wielu więźniów.

Do końca grudnia 1942 roku przebywaliśmy na bloku siódmym. Pomimo, że nie był on oazą spokoju, to jednak czuliśmy się tu o wiele pewniej niż więźniowie w innych barakach. Nieugięcie wierzyliśmy, że to już nasze ostatnie w obozie święta Bożego Narodzenia. Choć było głodno, święta te przeszły spokojnie.

Wielu nam płynęły z oczu łzy. Każdy myślę był daleko, wspominając rodzinę.

W końcu grudnia, lub w pierwszych dniach stycznia 1943 roku przeniesiono nas na blok ósmy, gdzie niepodzielnie panował jeden z najkrwawszych blokowych - Weks Osi. Był to nowy okres w naszym obozowym życiu. W początkach 1943 roku nastąpiły też korzystne zmiany w obozie. Przeniesiony od nas został do obozu w Majdanku główny kat więźniów untersturmführer SS Anton Thumann. Jego miejsce zajął przyjeźdzący z KL Mauthausen Walter Erneberger. Pod jego rządami zmalał terror obozowych funkcyjnych. Klęska niemiecka pod Stalingradem przyniosła umęczonym więźniom też więcej nadziei na przeżycie i wyzwolenie. Życie pokazało, że najtrudniejszy okres mieliśmy poza sobą. Nadejście paczki łagodziło trochę głód. Najważniejsze, aby teraz nie podpaść któremuś z obozowych oprawców i nie zginąć w sposób najmniej oczekiwany. W 1943 roku i później w 1944 roku, niektórzy z pracujących w Steinmetzlerlinge dopuszczeni zostali do pracy w innych komandach i mogli tam udzielać pomocy. Niektórzy nawet objęli funkcje blokowych. Niewielka już pozostała przy życiu grupa więźniów z transportu auschwitzkiego trzymała się w koleżeńskim kontakcie do końca, do dnia wyzwolenia.

Nr archiwum Gross-Rosen 4.6.44.